Przyjaciel Ludu.

Rok piąty. No. 13. Leszno, dnia 29. Września 1838.



Hofer.

Z moich wspomnień.

(Ciąg dalszy.)

Na samym grzbiecie Timbli spotkaliśmy pierwszych przekupniów z jabłkami, od południowéj strony Tyrolu, w północne jego doliny dążących. Po tak męczącym pochodzie, owoce były dla nas błogiem pokrzepieniem, tém więcéj, że w okolicy, którąśmy przeszli, żadnych nie było. W tych wązkich i wysokiemi górami, prawie od wpływu słońca zastrzeżonych dolinach, trudno nader, aby owoce dojrzeć mogły, lub przynajmniéj bardzo późno. Z Timbli do Moos, po bezludném, około 8000 stóp nad zwierciadłem morza wyniesionym grzbiecie góry, wiodła ścieżka; cały on mchem porosły; tu i ówdzie tylko przezierały nagie kamienie, jakoby odłamy, świadczące o strasznem niegdyś wstrząśnieniu. W równi z naszemi stopy otwierały się w dali granatowe łoża dolin; nad nami gdzie niegdzie sterczał biały szczyt góry. Takie wolne i czyste było tam powietrze, że pełną siłą płuc go czerpiąc, nasycić się niém było można. Całą atmosferę człowiekby tam chciał lubieżnie (!) w swych piersiach pochłonąć, a błoga lekkość, którą czuje do koła, nęci w nim żądze polotu, i budzi prawie w sercu zazdrość dla tego orła, co wyostrzywszy na skał wyłomie stępiony swój dziób, tak wysoko w błękicie żegluje, aby wzrokiem swym mógł zadzierżyć wszystkie doliny, i lotem piorunu na nową rzucić się zdobycz. Czyste powietrze w tak wysokich przestworach na mnie, mieszkańca równin wielko-polskich, tém milsze zrobiło wrażenie; inny rodzaj wolności, zamiast swobodnego kołysania wzroku po jednostajnie uprawnych nieprzejrzanych zagonach naszych równin. Tam w powietrzu w górze przepadał wzrok, żaden obłok nad naszemi nie zawisł głowy; błękit nieskończony otaczał nas do koła, czystszy, ciemniejszy, piękniejszy, jak u nas, bo już spokrewniony z owym lazurowym błękitem italskiéj krainy. Dotąd ukończyliśmy jednę część naszéj podróży, przez okolicę dziką, mało znaną, bo taki był nasz zamiar, a liczne niewygody, którychésmy doznali, sowicie nagrodzone zostały poznaniem krainy, któréj postać prawie wcale od ludzkiéj ręki nie doznała zmiany. Mało téż widziałem wiosek i miasteczek, nigdzie prawie uprawionéj roli: same jedne w drugie tylko rozgałęziające się wązkie doliny, poprute strumykami, gdzie niegdzie kilkunastu pasterskiemi zagrodami upstrzone. Smutne bardzo na wędrowcu czynią tam wrażenie, co kilka tysięcy, a czasem tylko nawet co kilkadziesiąt kroków, jakby złowrogie drogoskazy, po dolinach stojące pale, na pamiątkę miejsca, gdzie kiedyś jaki podróżny, przywalony lawiną, albo strąconém urwiskiem skały, życia dokonał. Na tych słupach zwykle jest odmalowane wydarzenie nieszczęścia i napisane imię nieszczęśliwego i data. Krajowcy z tak religijném poszanowaniem je przechowują, iż data niektórych, 15go sięga wieku; bo w miejscu pruchniejących, nowe zaraz stawiają.

W niektórych, szczególniéj wązkich i stromemi skałami ocienionych dolinach, pale te tak gęsto stoją, iż miejscu niejako smętną postać cmentarza nadają.

W Moos kończy się pasmo Timbli, a strumyk Passeyer otwiera wrota do nowéj doliny i swoje jéj imie nadaje. Strumyk ten pod samym Moos dziwnie piękny tworzy wodospad; wymył bowiem, jak studnią w skale, swoje koryto, i u podnóża wioski przez kamienną paszczę porywając z sobą spore kamienie, rzuca się z łoskotem aż na dno przepaści, kilkaset stóp pod górą leżącéj, a warcząc po żwirowém łożysku, srebrną swą wstęgą przyozdabia lice dzikiéj doliny. Dolina ta tak jest głęboką, iż z Moos do St. Leonhard tylko ścieżką, może na jakie tysiąc stóp nad przepaścią, którą strumyk wymywa, na stroméj skalistéj ścianie zawieszoną, dojść można. Ścieżkę opatrzono w poręcze dla pewności, bo lubo pomrukiem swym w przepaści grożący strumyk o niebezpieczeństwie ostrzega, widok nań tak ponętny, iż zdołałby odwieść baczność niejednego przechodnia od ostrożności, na tak wązkiéj ścieżce potrzebnéj. W miejscu, gdzie nowa, od Brennera wiodąca dolina, schodzi się z doliną Passeyer, i tę nagiąwszy, ku Adydże kieruje; pomiędzy trzema narożnikami wyniosłych skał, leży St. Leonhard, wioska pamiętna bitwą i spaleniem w r. 1809; porządna, cała z kamienia murowana. Stanęliśmy przed wieczorem w gospodzie, już pod pewném godłem, a czystość i świeża, biała pościel na łóżkach, przyjemny nam zwiastowała nocleg. Ochoczo zasiedliśmy do wieczerzy, kiedy nagle ściemniło się w izbie, huk jakby stu gromów zatrząsł podwalinami domu, i wszystkie szyby niestrojnym dźwiękiem zabrzękły. Wybiegliśmy przed dom, aby się przypatrzyć nawalnicy, temu w górach tak pożądanemu obrazowi.

Z wschodu na zachód, płynęła po niebie gromami ciężarna, ciemno-granatowa fala. W powietrzu tętniało, jak w kościele podczas podniesienia. Czasem tylko piorun, jakoby lśniąca głownia sztyletu, rozpruł w wężykowatym zamachu jéj piersi, tchnące ogniem, a łoskot, jak gdyby pękających granatów, w tysiącznych, coraz głębszych, obijał się łonach. Ciężko i poważnie zbliżał się ku nam ten ciemny całun obłoku, a kiedy już nad nami miał zahuczeć, rozdarł się z tysiącem gromów o twarde czoło jednego z narożnych olbrzymich granitów, i w téj saméj chwili w ognistą oblekł się szatę. Z dala idąc, zakryty za górami, tylko się srożył; ale skoro ujrzał zachodzącego słońca oblicze, cały się płomieniem gniewu zalał, i była chwila, w któréj nawet nas w dolinie, jakoby bengalskie otaczały światła. Wszystko gorzało: strumyk, murawa, krzaki, drzewa, rozpadliny skał, a nawet i zimne granity; ale w kilka chwil skryło się za horyzont słońce; ostatnie jego promienie, ozłociły już tylko zżymającą się nawałnicę, i wnet na powrót rozległ się po wyniosłych skał szczytach ten smok powietrzny, ściemnił brwi, lunął rzęsistym deszczem na doliny, sypnął białym śniegiem na gór wierzchołki i czasem tylko jeszcze zagrzmiał piorunem, jak gdyby w swych szponach wyrywał z odwiecznych łożysk te twarde olbrzymie głazy. Trudno mi znaleść wyrazów, aby opisać wrażenie, zachodem słońca rozognionéj fali; żadne sztuczne oświecenie naśladowaćby takiego złudzenia nie zdołało. Zdawało mi się, że wszystko, co nas otaczało, w téj chwili wyziewało płomienie, a zmiana kolorów obłoku, przypomniała mi i sprawdziła w rzeczywistości mego wzroku, ów piękny obraz z Farysa:

Zaczerwienił się od złości,
Oblał się żółcią zazdrości,
Nakoniec jak trup zczerniał, i w górach
się schował.

O pół godziny za St. Leonhard, na drodze ku Meranowi, leży w pięknem zagięciu doliny drewniana zagroda, gospodą *auf dem Sand* zwana. Przed jéj właścicielem, przed dwudziestu kilku laty, w tych drewnianych seranach, przysięgali na krzyż okoliczni Górale, wypędzić z swoich dolin najezdnicze wojsko. Był to Andrzej Hofer. Na łowach za dzikiemi kozami zahartowany, w wdzieraniu się na skały zręczny i wprawny od kolebki, do wolności nawykły, nie mógł znieść zniewagi obcego jarzma; zwołał sąsiadów do obrony własnych siedzib i wnet krwią Gallów zrumieniły się wszystkich dolin strumyki. Tyrolskie Alpy znalazły swego Tella; szczęśliwe stokroć krainy, które nieba udarzyły w szańce i zastępy z granitów; mało tam krwi ich synów popłynie, sama przyroda wolność im zabezpiecza, kiedy mieszkaniec równin, tylko krwią własnych piersi, nadludzkiém męztwem dokupić jéj się może. St. Leonhard było pierwszym świadkiem męzkiego zapału Tyrolczyków; pierwszy raz nieprzeparte bitnych zwycięzców Marengo bagnety, ustąpić musiały przed celnemi strzały alpejskich strzelców; i czemuż? wszakże tamtych magnetyzował geniusz wielkiego człowieka; wszakże najświetniejsze nadzieje, buławy, mitry, korony nawet błyszczały w ostrzach ich bagnetów; wszakże raz już zdeptali wyniosłe śnieżnych Alp szczyty, kolami dział rozorali ich dumne czoła; czemuż więc natenczas złoty orzeł wstrzymał się w swym zwycięzkim polocie, czemuż? bo najmężniejszego najezdnika oblicze zblednieje i znieść niezdoła wyrazu zniewagi w rozzarzonem oku rodzinnych siedzib broniącego męża; bo niemasz straszniejszego wroga, jak przekonanie o własnéj niesłuszności. Niechaj się tylko zakradnie w serce człowieka, a wnet największe męztwo w zajadłą niemoc się przemieni, i szlachetna dotąd dłoń bohatéra, zwycięzkie wawrzyny krwią niewinnych splami. Hańba więc wszystkim, z których winy krew nieśmiertelnego popłynęła Hofera.

Chcieliśmy odwiedzić żyjącą natenczas jeszcze wdowę bohatéra Tyrolu; ale mimo, żeśmy aż ku południowi w gospodzie *auf dem Sand* pozostali, niepodobna było jéj się doczekać; w lepszém będąc mieniu, wynagradza sobie długim snem przykre chwile, które niegdyś w pracy rąk pędziła. Dopytywałem się o broń Hofera, lub inne jakie po nim pamiątki; wszystkie atoli jego dzieci, w okolicach Wiednia zamieszkałe, z sobą zabrały. Nasz przewodnik opowiadał nam tylko po drodze różne wypadki z owéj wojny, w któréj on, jako chłopczyna mały, nosząc żywność na góry starszym od siebie, brał udział. Pomiędzy innymi mówił o Góralu z doliny Passeyer, co małą francuzką armatę zdjął z lawetu i w górę uniósł. Pożegnaliśmy progi, w których silne przedsięwzięcie i gorąca miłość rodzinnéj ziemi prostych Górali, w bohatérów zamieniła; a że już wiatr ciepły, który Adyga z italskiéj ziemi na swych falach pieści, w coraz bardziéj szerzącą się dolinę zawiewał, przyspieszaliśmy kroku, aby jak najprędzéj stanąć w Meranie.

(Ciąg dalszy później nastąpi.)

Puławy.

(Ciąg dalszy.)

Niedaleko świątyni Sybilli, stoi dom gotycki, lecz drzewa gęste i wspaniałe, ukrywają jeden przed drugim. Wystawiła go także Czartoryska, jak tu napis, na czele będący, świadczy: *Izabella Czartoryska* 1809, w niepospolitym kształcie. Architektura domu tego jest gotycka, ale kształtna; zdaje się być mniejszym, niżli jest w istocie; szczególny i wytworny w zewnętrznych i wewnętrznych ozdobach, zawierał więcéj, jak Sybilla, skarbów smaku i wykończenia. Poświęcony sławnym i starożytnym pamiątkom wszystkich krajów i wieków; a lubo mieści niemal wszystkich części świata w sobie zabytki, poznać jednak można, iż go Polka stawiała. Na wystawie te są słowa: „*Sunt lacrimae rerum, et mentem mortalia tangunt.* *)“. Ściany nastrożone są, czyli wysadzone różnemi pomnikami z kamienia, marmuru, cegły, żelaza; każdy z stósownym napisem. Na głównéj ścianie następujące ojczyste zabytki:

Cegła z domu Dąbrowki.
Kawał muru z domu, w którym się urodził Kopernik.
Drzwi z najdawniejszéj części zamku krakowskiego.
Kamienie z grobu Łokietka i Kazimierza W.
Cegły z mieszkania Jana Zamojskiego.
Kawał marmuru z pałacu lubelskiego, w którym unia stanęła.
Orzeł na blasze, ze starego ratusza warszawskiego.
Gałka z kościoła Dominikanów.

Na drugiéj ścianie, również jeszcze pamiątki ojczyste, i tak: między niezliczonemi kulami, symbolicznie umieszczony próg z domu, w którym się urodził Kościuszko, i ozdoby z trumny jego.

Na ścianie téj jest taki napis: „*Oby odtąd zwycięstwa nasze zatrzeć mogły pamięć klęsk doznanych.*“

*) Mają i rzeczy łzy swoje, i serce ludzkie tykają.

Na innych dwóch ścianach już obce, starożytne i nowoczesne umieszczone pamiątki, mianowicie zaś:

Gruzy pałacu Nerona.
Cegły z Bastylii.
Kamień z pałacu Cezara.
Ułamek z domu Napoleona na wyspie Elbie.
Brzeg bani winnéj, z imieniem dawnego garncarza rzymskiego.
Urywek skały z Ameryki północnéj.
Kamień z grobu Scypionów i t. p.
Gruzy z kapitolu w Rzymie, z Pompej i Herkulanum.
Marmurowa statuta, która niegdyś świątynią Palmiry zdobiła.
Sfinx z kamienia wykuty, na brzegach Nilu znaleziony,
Szczątki starożytnego zamku w Szkocyi.

Wewnętrzne urządzenie i przyozdobienie domu przewyższa wszelkie wyobrażenie, jakie po zewnętrznych ozdobach powziąść tylko można.

W sali dolnéj, jest kilkaset herbów familij polskich, odmalowanych na ścianach; w środku sali pod sufitem stósowny i piękny umieszczono napis:

„*Wszystkiemu, co los zmienia i co czas pożera,*
„*Człowiek tkliwém wspomnieniem znikomość odbiera.*“

Niepodobna wyliczyć wszystkiego, co szanowna założycielka tu pięknego i drogiego nagromadziła; samém porządkowaniem przedmiotów jednego przy drugim, zdaje się przemawiać symbolicznie do widzów.

W téj sali z herbami mieszczą się n. p. gałązki za szkłem zasuszone, rwane w miejscach, gdzie niegdyś Troja stała.

Obok kanapy z trzciny po Katarzynie IIgiéj, uderzają widza dwa naczynia odmiennością swoją, jakoto: bogaty i ogromny puhar z pokrywką po Auguście II. i flasza skórzanna niewolnika polskiego. nabyta w Astrachanie przez niego.

Schódki wiodące do górnych pokojów, jak najpiękniéj i najrozmaiciéj ozdobione.

Tarcza z dawnéj krucyaty; tu obrazy wodnemi farbami ręką sławnego Gesnera malowane.

Wyciski twarzy: Karóla XII., Kromwela, Henryka IV., Newtona.

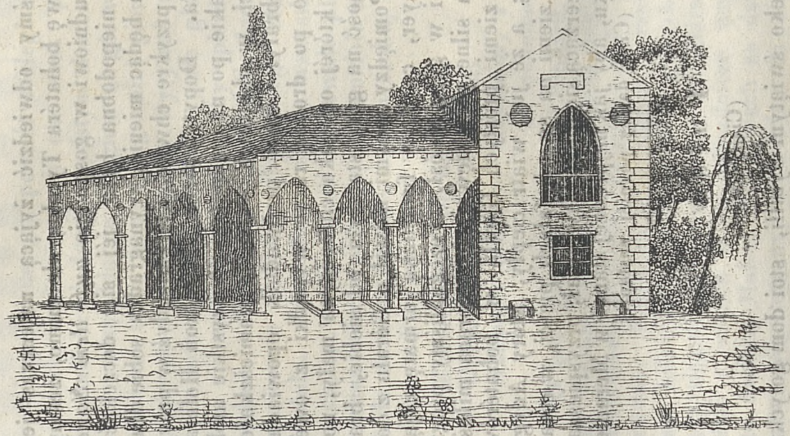
Nad temi schodkami wiszą portrety dzieci Sobieskiego i sławniejszych pisarzy Francyi. Na zakręcie stoją: dzidy mieszkańców wschodu, pałki dzikich ludzi Ameryki, chorągiew Karóla Śmiałego.

W przedpokoju następujące się mieszczą bogactwa: Na jednéj ścianie wisi kobierczyk turecki, na nim złotem, srebrem i jedwabiem szyty wiersz z alkoranu.

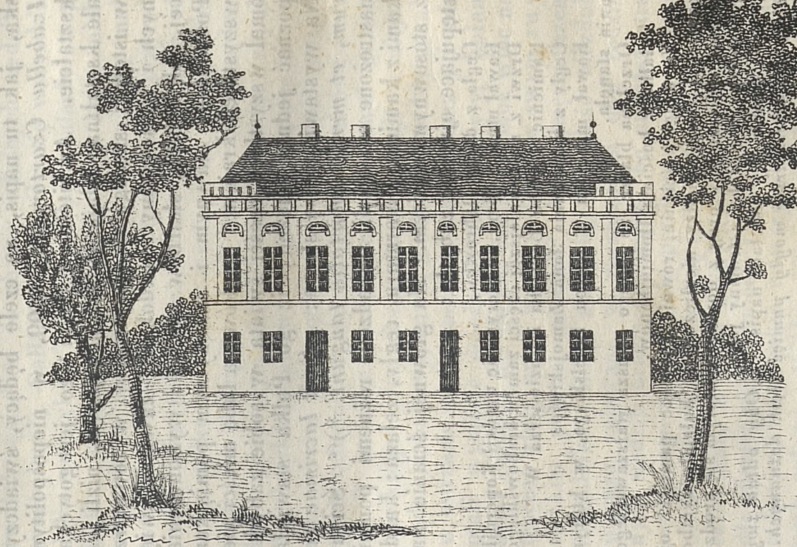
Na drugich ścianach wisi, leży, stoi w rozmaitym układzie i kształcie, broń rozmaita po sławnych królach i wodzach, mianowicie: Kawałek zbroi Gottfryda de Bouillon.

Ogromny pałasz po Templaryuszach.
Szpada Marcina Lutra, z czasów jego jeszcze studenckich.
Kordylas Kooka.
Szpada Ludwika XIV.
Krzesło ogromne, bogate, pozłacane, po królach węgierskich.
Taboret prosty po Fryderyku Wielkim.

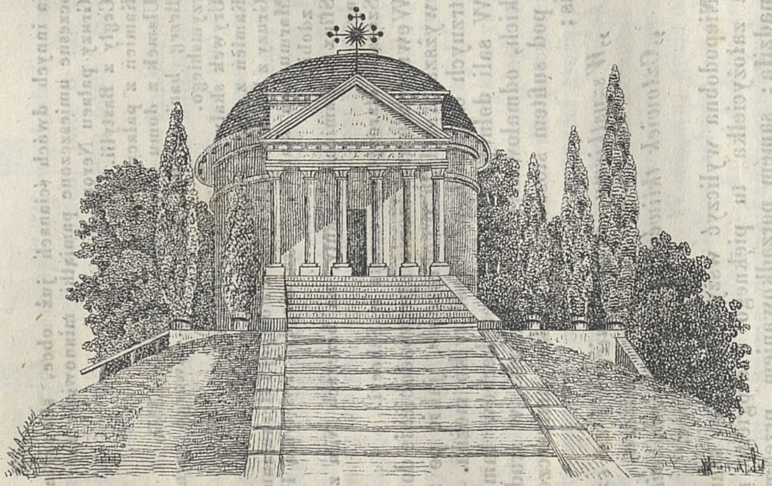
Z tego przedpokoju wchodzi się do najpiękniejszego pokoju z całego domu. Okna, ozdoby i sprzęty, wszystko w nim gotyckie, lecz z największym smakiem i świeżością wykonane; galerya bardzo kształtna, dzieli go na dwie po-



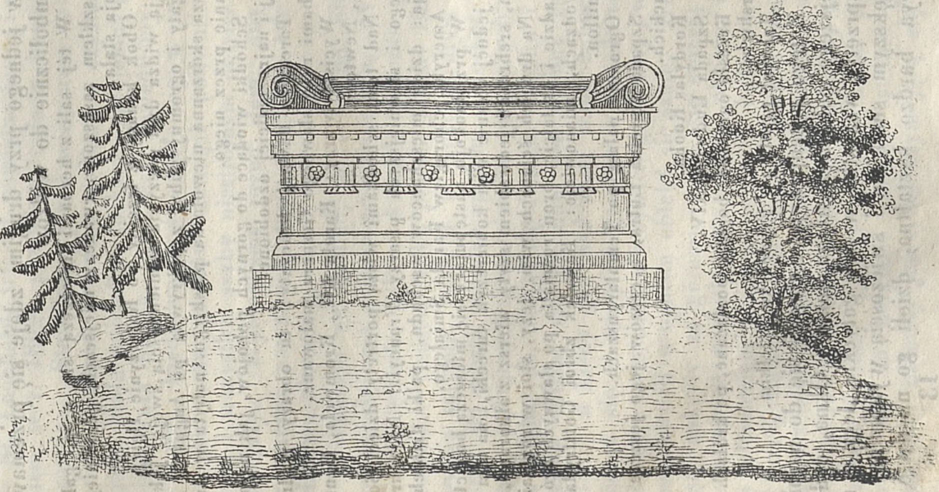
Dom Gotycki w Puławach.



Archiwum w Puławach.



Kościół P. Maryi w Puławach.



Pomnik Księcia Augusta Czartoryskiego w Puławach.

łowy; na dwóch lekkich słupach oparte są, na jednym znaki niewieście, a na drugim rycerskie, z godłem xiążąt Czartoryskich: *„Bądź co bądź.“*

Ściany, wybite zielonym aksamitem, zawieszone są drogiemi i starożytnemi obrazami, familijne xiążąt Czartoryskich, hrabiów Flemingów, portrety *): Maryi Sztuart, Wilhelma Tella, Marcina Lutra, Krzysztofa Kolumba i wiele innych wizerunków, pięknych zabytków malarstwa, i t. p. Szafy wspaniałe i gustowne, mniejsze i większe; jedna z nich bogata, była własnością Zygmunta Augusta. W tych szafach tysiące sprzętów rzadkich i drogich:

Filiżanka Washingtona.
Bogaty ołtarzyk Piotra Wielkiego.
Strzała Wilhelma Tella.
Pióro Woltera.
Butelka kryształowa Franciszka I., króla Francyi.
Tabakierka nieszczęsnego Tipoo-Saiba.
Sławnych kochanków popioły i pamiątki w kosztownych naczyniach: jakoto:
Helojzy i Abelarda,
Romea i Julii,
Petrarki i Laury.
Pukiel włosów Maryi Sztuart i jéj książka do nabożeństwa.
Używana przez Franklina machinka lepszego widzenia.

Sławniejsi ludzie mają osobne swoje szkatułki: i tak: W szkatułce Napoleona jest jego sztuciec, czapeczka, pióro, którem zrzeczenie się tronu podpisał, listy własnoręczne, sztuki monety z jego wizerunkiem.

Po Janie Jakóbie Russo jest cały jego ubiór wieśniaczy, w którym był chrzcony; nóty, których przepisywaniem zarabiał sobie na życie, i wiele innych pamiątek.

Są także pamiątki po Götem, Walter Skocie, Torkwacie-Tassie, Szylerze, Szekspirze, Delillu i t. p. Obok tego pokoju jest gabinet, w którym równie kosztowne i rzadkie pamiątki.

Między wielu drogiemi malowidłami znajduje się portret Rafaela, przez niego malowany. Krzesło Szekspira, Russa i Woltera stołki, zbiór książek do nabożeństwa, różańców, paciorków kosztownych po różnych sławnych osobach; szkatułka xięcia Józefa Poniatowskiego, koralami wysadzona; w niéj mundur, w którym utonął.

Jak w Sybilli, tak też i w domu gotyckim znajdowały się wielkie skarby w rękopismach, listach i pismach własnorecznych wielu królów, sławnych mężów i pisarzy, dawnych i tegoczesnych.

Księgozbiór puławski, umieszczony w gmachu, nazwanym archiwum, na rycinie tu oddanym, był jednym z najbogatszych w Polsce, mianowicie od złączenia go z księgozbiorem z Porycka, który uczony Czacki xiążętom Czartoryskim przekazał. Zawiera on w sobie najkosztowniejsze i najrzadsze księgi i rękopisma.

Na górze stoi piękny kościół Panny Maryi, na rycinie wyobrażony, wystawiony przez syna, na pamiątkę matki, Maryi z Sieniawskich Czartoryskiéj, i oddany opiece Boga Rodzicy. Budowany na podobieństwo Kapitolu w Rzymie: kolumny porządku koryntskiego; posadzka z marmuru krajowego; sklepienie śmiało wykonane.

*) Jedna z familii Flemingów była damą honorową, dworu nieszczęśliwéj Maryi Stuart, i dała jéj szczególne dowody przywiązania. Walter Skot chlubnie ją w swym romansie *the Abath* wspomina.

Pod cienistemi, drzewami na pagórku zielonym, wznosi się pomnik xięcia Augusta Czartoryskiego, na wzór pomnika Scypiona, z marmuru kararyjskiego wykowany, jak go nam rycina przedstawia. Znane powszechnie jest pełne zasług tego wielkiego męża życie, godny wielkości jego pomnik.

Ogrody, parki i wszelkie inne przyozdobienia Puław, są jak najszczęśliwiéj wykonane; każde miejsce, każdy widok jak najdoskonaléj użyty i bez przysady upiękniony. Gdziekolwiek się spojrzy, wszędzie wszystko jest dowodem najlepszego gustu, najdelikatniejszych i najszlachetniejszych uczuć założycielki.

Ogród w Puławach najpierw Niemiec *Pope*, ogrodnik, zakładał; późniéj Anglik *Savage* (Sawicz) dokończył jaknajdokładniéj wszystkiego.

Prócz budowli powyżéj już opisanych, zasługuje na uwagę pałacyk xiężnéj Maryi Anny z Czartoryskich Wirtemberskiéj, Marynki od niéj nazwany, i przez nią wystawiony, z pięknym angielskim ogrodem, graniczącym z wielkim parkiem puławskim: leży nad odnogą Wisły.

Nad portalem tego pałacu, stoi wiersz z Horacego: *„Iste terrarum mihi praeter omnes angulus ridet.“* *) wyjątek z Horacego, przez uczonego plebana międzyrzeckiego, Piramowicza, szczęśliwie podany.

W ogrodzie puławskim, w miejscu szczególnie obfitém w bogactwa roślinne, umieszczony jest przez xiężnę feldmarszałkową napis: *„drzewom, krzewom i kwiatom, których hodowanie było zawsze mym ulubionêm zatrudnieniem. One wspominają mi lepsze od obecnych czasy, one doczekają może szczęśniejszéj przyszłości!“*

(Ciąg dalszy późniéj nastąpi.)

Józef Borusławski.

(Ciąg dalszy.)

Za przykładem cesarzowéj, wielu panów i pań obsypywało mnie grzecznościami i podarkami. Byłem wszędzie żądany, pieszczony: przecież mimo tak świetnych powodzeń, gorzkie uczucia zatruwały mi życie. Zacząłem ja miarkować, że prawie wszyscy uważali mnie jako cacko, jako lalkę, doskonalszą, dziwniejszą od najsztuczniéj sporządzonych; ale przecież nie widzieli nigdy we mnie istoty równéj im, lubo mniejszéj. Raz szczególniéj boleśnie przekonałem się o tém. U pani Humieckiéj zebrało się kilka osób najznakomitszych; nie zważając bynajmniéj na obecność moję, tak, jak gdybym słuchu i rozumu nie miał, zaczęto mówić o kar-

*) Ten zakątek najbardziéj z wszystkich na ziemi do mnie się uśmiecha.

łach i o mnie. Jedni utrzymywali, że karły żenić się nie mogą, zwłaszcza między sobą; drudzy twierdzili przeciwnie; a gdy pani wojewodzina wspomniała, iż mam siostrę jeszcze mniejszą od siebie, i że już nie raz przychodziła jéj myśl złączenia nas; wszyscy owi panowie i panie zaczęli ją namawiać usilnie, ażeby ten zamiar doprowadziła do skutku; a przytém uwagi ich i wnioski były takie, iż nawet powtarzać ich tu nie śmiem. — Nigdym jeszcze nie był uczuł tak żywo, jak wtedy, poniżenia mego. „Jak to, po„myślałem w sobie, płacząc gorzko w kącie „pokoju — nie dosyć, że mnie uważają jako nie„wolnika, którym bez jego woli i wiedzy roz„rządzić można; ale nawet nie uznają we mnie „człowieka, istoty moralnéj, i myślą, że ze mną „jak ze zwierzęciem obchodzić się godzi.“ — Te myśli taką boleścią mnie przejęły, iż skoro rozjechali się goście, opiekunka moja dostrzegła stanu mojéj duszy; musiałem jéj wyznać przyczynę głębokiego smutku; i nie uspokoiłem się, póki mnie nie zapewniła, że jedynie dla zabawy i na żart wspomniała o połączeniu mnie z siostrą, i że do tego nigdy nie przyjdzie, ani przyjść może.

Opuściwszy Wiedeń i objechawszy różne miasta niemieckie, najmilszym dla mnie wypadkiem było przybycie do Lunewilu, gdzie trzymał dwór swój Stanisław Leszczynski, a gdzie jako Polakom, we własnym pałacu mieszkać nam kazał. — Nie mogłem się wstrzymać od najwyższego podziwienia, na widok szanownego starca, który po tyle burzliwém życiu, używał jeszcze w ośmdziesiątu leciech, wszystkich władz umysłowych, a obracał je tak przykładnie ku szczęściu swoich poddanych. — Szlachetna jego postawa, pogoda twarzy, uprzejmość mowy i obejścia się, szczególnie mnie ujęły; i nie dziwiłem się wrażeniu, jakie niegdyś sprawił na Karolu XII., który widząc go i rozmawiając z nim po raz pierwszy, rzekł do otaczających go jenerałów: *„Tego zrobić królem polskim.“* Wszystko, com widział w Lunewilu i w Nancy, nierównie wyższem i lepszem mi się wydało, od tego, com widział po innych dworach.

Stanisław Leszczyński miał także karła przy sobie, głośnego Bebe *); do téj pory uchodził on za najosobliwszego w swoim rodzaju, i w rzeczy samej był doskonałego składu i wcale miłéj twarzy; lecz charakter jego (z wstydem wyznać mi to przychodzi) odznaczał się szpetnością. Miał wszystkie wady zwykle karłom przypisywane; był zazdrośny, gwałtowny, mściwy. Dochodził on już lat trzydziestu, a nie przeszedł jeszcze dwóch stóp i ośmiu cali, z czego niezmiernie był dumny; gdy jednak zmierzył się ze mną, okazało się, żem o cztery cale był mniejszy — prawda też, żem wtedy nie miał lat dwudziestu. — On nie zważając na to, znienawidził mnie od téj chwili; a gdy jeszcze postrzegł, jak bardzo król mnie polubił, przejął się zjadliwą zazdrością; i do tego przyszło, iż kiedy raz znalazłem się z nim sam w królewskich pokojach, ująwszy mnie z nienacka i silnie za nogi, chciał koniecznie rzucić mnie w palący się ogień na kominie. Szczęściem uchwyciłem się mocno żelaza, o które opierają zwykle szczypce i łopatkę, i zacząłem krzyczeć w niebo głosy. Sam król przybiegł na mój ratunek i wybawił mnie. — Bebe srogo ukarany został za swój niecny postępek. Stanisław zakazał pokazywać się mu na oczy; przecież na usilne prośby moje obiecał przypuścić go do oblicza swego, ale pod warunkiem: że mnie przeprosi w obec całego dworu. Uczynił to Bebe, lecz z takim przymusem i wstrętem, iż wnet wpadł w chorobę, z któréj umarł. — Nie bez przyczyny mówią o ludziach naszego wzrostu, jakoby w nich namiętności były gwałtowne; jam na sobie tego nieraz doznał, ale Bogu chwała, panować im dotąd umiałem.

W Lunewilu poznałem sławnego hrabię *de Tressan;* wielce się mną zajął, uważał mnie i badał pilnie; dostarczył też potém wydawcom encyklopedyi artykułu o karłach, w którym korzystnie wspomniał o mnie. **)

Napatrzywszy się wszystkiego, co było do widzenia i uwielbienia w Lunewilu i w Nancy, pożegnaliśmy dobrego króla, który dać raczył opiekunce mojéj listy zalecające do córki swojéj, w ówczas królowéj francuzkiéj; z niemi udaliśmy się prosto do Paryża.

Łatwo zgadnąć, iż pierwszem staraniem pani Humieckiéj było, jechać do Wersalu, gdzie przemieszkiwał dwór Ludwika XV. Tam, jako Polka, pewną być mogła łaskawego u królowéj przyjęcia, cóż dopiero, kiedy niosła listy od króla, jéj ojca.

Marya Leszczyńska zachowała wiele przywiązania do tego wszystkiego, co polskiem było; powitała przeto panią Humiecką z wielką uprzej-

*) Mikołaj Ferry, przydomku Bebe. Jest portret jego robiony z natury w muzeum wersalskiém.

**) Oto parę wyjątków z tego artykułu (*Enc. V. XI. p. 4.*) „Karzeł pani hrabiny Humieckiéj, pan Borusławski, szlachcic polski, różni się bardzo od karła króla Stanisława, i może być uważany jako istota wielce zadziwiająca. Ma dziś (1760) lat 22, wysokości 28 cali; bardzo jest kształtny, głowa proporcyonalna, oczy dosyć piękne, wyraz twarzy miły; nogi, ręce, w miarę do wzrostu. Pije samą wodę, je mało, śpi dobrze, trudy wszelkie znosi i jest zdrów zupełnie. Do uprzejmego ułożenia, łączy dowcipne odpowiedzi; pamięć ma dobrą, zdrowy rozsądek, serce czułe i do przywiązania się zdolne. Edukacya jego długo była zaniedbana; teraz umie czytać, pisać, arytmetykę, po niemiecku i po francuzku, i bardzo jest zręczny do wszelkich robót. To już godne zastanowienia w matce p. Józefa Borusławskiego, że sama będąc słusznego wzrostu i takiegoż mając męża, urodziła troje dorodnych dzieci i troje karłów; rodziła je wszystkie w porze przyzwoitéj, ale karły przychodziły na świat do boskiego stworzenia niepodobne; głowa schowana w ramiona, nóżki zupełnie skulone; dopiero z wiekiem się rozwijały i wszystkie wyrosły kształtne, choć małe.“

mością. Dowiedziawszy się, że ma z sobą w Paryżu osobliwego karła, chciała koniecznie mnie poznać. — Kiedym jéj przedstawiony został, dziwiła się niezmiernie nad maleńkością moją; a wypytując mi się obszernie o króla, ojca swego, o Polskę, o Bebego, o podróże moje, tak była rada odpowiedziom moim, iż mnie przezwała zupełnym cudem. „Po tém wszystkiem, „com kiedykolwiek o karłach słyszała,“ rzekła, „sądziłam, że rozum ich idzie w parze ze wzro-„stem; bardzo mi jest miło przekonać się o myl-„ności tego zdania.“ I to powiedziawszy, prosiła pani Humieckiéj, żeby ją odwiedzała często, a mnie zawsze przywoziła z sobą.

Za powrotem naszym do stolicy, ciekawość widzenia mnie zwabiła opiekunce mojéj odwiedzin aż nadto. Co tylko było u dworu i w mieście osób przyzwoitych, wszystko to zajeżdżało do niéj, dla mnie. Pochlebiała ta wziętość mojéj miłości własnéj, ile, że najznakomitsi panowie, jako to xiążę Orleanu i jemu podobni, obchodzili się ze mną jak najłaskawiéj. I od rodaków goszczących w Paryżu, nie mniéj doznawałem względów; w ich liczbie wspomnieć muszę o hrabi Ogińskim, wielkim hetmanie litewskim, który tak mnie polubił, iż sam zaczął mnie uczyć muzyki; wielkim będąc mistrzem i znawcą, obaczywszy we mnie zdatność, namówił z łatwością panią wojewodzinę, aby mnie kazała uczyć grać na gitarze. Na jego tedy wstawienie się, brałem lekcye od sławnego *Gavinies*, i nabyłem talentu, który późniéj stał mi się równie użytecznym, jak miłym. Pan hetman Ogiński różne zabawy stroił sobie ze mnie. Pamiętam, raz, dał wielki obiad najznamienitszym damom francuzkim, a mnie schował w wazę srebrną i postawić kazał na środku stołu. Gdy wszyscy zasiedli, zaczął pobudzać ciekawość gości, zapowiadając im niepospolity z owéj wazy przysmak. Każdy chciał, aby do niego natychmiast przystąpić; on wzbraniał się chwilę; nareszcie za umówionem słowem podniosłem się w wazie, zrzuciłem pokrywę i wyskoczyłem na stół. — Wszyscy zdziwieni niesłychanie, krzyknęli; kilka dam, które mnie jeszcze nie widziały, zabierały się do ucieczki, myśląc, że djabełka widzą przed sobą; ale wnet się uspokoiły, gdym do nich grzecznie przemówił.

Ów obiad rozgłosił jeszcze więcéj moje imię; i przyszło ztąd do wypadku, który, gdyby nie takt i dobroć królowéj Maryi Leszczyńskiéj, byłby mógł przykre mieć skutki dla mojéj opiekunki. Trafiło się, iż księżna Modeny, dama krwi panującéj, nie widziała mnie jeszcze, a wielką miała do tego ochotę. Ród wysoki, nie dozwalał jéj oddać wizyty pani Humieckiéj; napisała więc do niéj, zapraszając do siebie na wielkie zgromadzenie wieczorne, a w końcu listu dodała: *„Mais surtout n'oubliez pas d'amener Joujou,“* (bo Joujou zwano mnie powszechnie i bardzo rzetelnie). Pani wojewodzina obraziła się owém, tak wyraźném okazaniem książęcém, iż ją zapraszają najwięcéj dla mnie; odpisała tedy zimno, jakoby inne mając zaprosiny na ten dzień i na następujące, odmówić musi, i nie wie wcale, kiedyby mogła być u księżnéj. Księżna odgadła urazę i powód do niéj; mocno rozgniewana, skarżyła się przed wszystkiemi, i pojechała z umysłu do królowéj, żądając od niéj, ażeby, jako Polce, zganiła pani Humieckiéj, jéj postępowanie, i rozkazała jéj przywieść mnie do niéj.

Królowa ceniła wysoko rodaków swoich i ubliżać im nie dała; ale z innéj strony nieprzyjaciółką była wszelkich poróżnień i plotek. Przeto na taki wzięła się sposób. Grzecznym listem zaprosiła do siebie panią Humiecką na śniadanie, i jakby od niechcenia wspomniała i o mnie. Na tenże sam dzień posłała zaprosiny księżnéj Modeny, nie wspominając jéj o niczém. Na godzinę naznaczoną, przyjechaliśmy do Wersalu; a wkrótce po nas, z wielkiém zadziwieniem ujrzeliśmy wchodzącą księżnę Modeny. Ona niemniéj się zdziwiła, postrzegłszy panią Humiecką. Lecz w obecności królowéj, obie damy nic przykrego powiedzieć sobie nie mogły; owszem na taki tór wprowadziła je zręcznie, iż na wzajem komplimenta sobie mówić zaczęły. Księżna do tego nawet stopnia delikatność swoję posunęła, że nie zaraz wspominała o mnie; ale zadosyć uczyniwszy przyzwoitości, dowiodła wnet słowy i pieszczotami, ilem ją zdziwił i zajął.

To zdarzenie głośne, jak zwykle plotki dworskie, dopełniło wziętości mojéj w Paryżu; wszedłem zupełnie w modę; wyrywano mnie sobie, żadna zabawa obejść się bezemnie niemogła; podziwiano prawie więcéj dowcip mój, wesołość, grzeczność, niżeli drobną i szczególną urodę; panowie francuzcy wspaniałe uczty dla mnie dawali; jeden z nich, dzierżawca jeneralny, pan *Bouret*, wyprawił raz obiad wytworny; a chcąc dowieść, że dawał go jedynie na cześć moję, wszystko kazał sporządzić stósowne do mego wzrostu; zastawa stołu, sztucce, inne porządki, potrawy nawet, wszystko było drobne i maleńkie, a wykwintne; pamiętam, że największą zwierzyną na tym obiedzie, były ortolany i skowronki.

Po całym roku równie świetnych zabaw i powodzeń w Paryżu, pojechaliśmy do Hollandyi, gdzie nas przyjął bardzo dobrze Statuder; ztamtąd przez Niemcy wróciliśmy do Polski.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kronika literacka.

„*Wybór prozy i poezyi polskiéj, dla niższych klass gimnazyalnych i wyższych szkół miejskich, wydał A. Popliński, prof. gim. katol. w Poznaniu*, 1838 r.“

Wszyscy gorliwi nauczyciele, a bardziéj jeszcze myślący rodzice, ubolewają na niedostatek książek elementarnych, któreby ułatwiały trudne nauk początki, obudzały ciekawość dzieci, i dodawały ochoty uczącym się. Kto wie, ile corok podobnych książek wychodzi za granicą, ten się zadziwi, gdy usłyszy, że u nas zaledwie jedno, lub dwa dziełka tego rodzaju, i to w różnych częściach dawnéj Polski pojawia się rocznie. Ząd, niestety! można sobie wytłumaczyć także owo lgnięcie do cudzego towaru, w niedostatku własnego. Czasby był jednak wyzwolić raz na zawsze od téj szkodliwéj opieki, czas mówię pomyśleć o tém, czybyśmy o własnéj sile wzrastać i kształcić się nie mogli. Z tego względu radbym zwrócił uwagę ziomków moich, a zwłaszcza literatów, na zaniedbaną dotąd zupełnie niwę, na brak dobrych książek elementarnych. Jest to przedmiot największéj wagi, bo od niego zależy nietylko postęp oświaty w następnych pokoleniach, ale nadto pielęgnowanie języka ojczystego. Kto pojmuje ważność téj prawdy, ten przyzna, jaką przysługę świadczą młodzieży ci uczeni mężowie, którzy nas elementarnemi dziełmi zbogacają. Już kilka tego rodzaju książek, nie tłumaczonych żywcem z niemieckiego, lub francuzkiego, ale oryginalnie pomyślanych i wypracowanych, zjawiło się w ostatnich latach.

Wyżéj wymieniony *Wybór prozy i poezyi A. Poplińskiego* należy, naszém zdaniem, do szczupłéj liczby dobrych elementarnych książek, z któréj dzieci już umiejące trochę czytać, dalszą ojczystego języka i myślenia czerpać mogą naukę. Obszerniejszy rozbiór tego pożytecznego dziełka, przechodzi granice naszego pisma; przeto mówiąc tylko ogólnie, uważaliśmy, że i wybór treści stósowny, i stopniowe od łatwiejszych do trudniéjszych przejście, naturalne. Poetyczna część, aczkolwiek krótsza, niemniéj ważna, zawiera wiele poezyj, zkąd inąd mało u nas znajomych, a mających prawdziwą poetyczną wartość. *) *K. T.*

Powitanie.

Był dzień niedzielny, o jesiennéj porze:
Na zachód słonce w las bukowy tonie,
Przedsenne pieśni ptastwo kwili w borze
I ptak w przedsenne otoczył się wonie.
Niewinném szczęściem grzmi pobliskie sioło,
Skrzypek w najlepsze wygrywa w gospodzie;
Młodzież wśród pląsów wykrzyka wesoło,
Starzy o wojnie gawędzą przy miodzie.
Wszędy wesele, a nie ujrzysz troski,
Bo praca darzy niebiańską pociechą
Serca poczciwe. W pośrodku téj wioski
Stał dom drewniany, pod słomianą strzechą,
I był jak inne poziomej prostoty;
Tylko dostatek większy go otacza,
Bujniejszy sadek, dłuższe ulów roty,
I porządniejszy cały sprzęt oracza.
W chacie zaś, ściany śnieżno ubielone,
Zajęli święci w jaskrawéj odzieży;
Tam przy kominku widać kmiotka żonę,
Jak koło skromnéj krząta się wieczerzy.
A śród podwórka na miękkiéj murawie,
Dziewczę starego Brysia wodzi w tany;
A pod okienkiem na dębowéj ławie,
Siedzi gospodarz smutny, zadumany.
Czegoż on smutny? ... wszak w jego stodole
Plenny dar boży, sad purpurą płoni,
Błogą nadzieją zieleni się pole,
Zdrowy dobytek, pszczółka złotkiem dzwoni.
Czego on smutny? on który w wesele,
W radę i mężne bogaty uczucie;
Dziś bez gawędy poszli przyjaciele;
Czy miał przeczucie? ... musiał mieć przeczucie.
Bo kiedy nagle pies skoczył do sadu,
I skomląc ścieżką pobieżał na pole,
Zadrżał; jakoby myśl wyrwał z nieładu,
Który od rana ciężył mu na czole.
I słucha, jako donośne szczekanie
Raptem w piskliwe, ciche tony spada,
Jak gdyby radość, żal czy powitanie;
A wtém dzieweczka zadyszona wpada.
I woła: „tato .... o! tato .... tam .... w bramie ....
„O! tam .... Bryś wita .... o! lecę do mamy ....
„Jaś wrócił z wojny .... o! ja powiem mamie“ ....
A nasz gospodarz już stoi u bramy.
A przed nim młodzian prześlicznéj urody,
Płaszcz nad wzniosłemi otulił ramiony;
Twarz jego blada, zapadłe jagody,
Jakby był ciężką chorobą znużony.
I stoją oba, — lecz stoją w milczeniu;
Synowi łzami źrenica zabiega,
A ojciec zda się szukać w tém spojrzeniu,
Co w nim ma witać, zwycięzcę, czy — zbiega.
I milczą jeszcze, a już chatki ściany
I sad drżącemi, matczynemi słowy
Brzmi do okoła: „gdzie mój Jaś kochany! ...
„Gdzie on jest .... gdzie on! .... czy mi wraca zdrowy? ....
„Czy już niepójdzie? ... a gdzież on jest przecie! ...
„Już mi go wszyscy witali o! Boże.
„Ach! ... jaki blady, co ci jest me dziecie!
„Czyś ty chorował? ... czyś ty chory może!
„Czegoż tak stoisz niemy i zmieszany!
„Gdybyś ty wiedział ... o! dzisiaj nic o mnie ....
„Wszak już zostaniesz .... prawda mój kochany? ....
„O! jam szczęśliwa! .... pójdź do mnie, pójdź do mnie!“
I już go ściska, już tuli do łona;
Lecz gdy się w szczęściu matki nie posiada,
I płaszcz rozrywa, co mu krył ramiona,
Z krzykiem rozpaczy u stóp syna pada.
A ojciec obie załamuje dłonie,
Dwa mu po licach łez płyną strumienie;
I syn znów stoi samotny na stronie,
I znowu długie, grobowe milczenie.
A u ramienia, tam gdzie ręka prawa,
Cały majątek biednego człowieka,
Z wiatrem mu kawał powiewa rękawa,
Pusty, jak ten grób, co ofiary czeka. *J. N. J.*

*) *Dostać można w księgarni Günthera w Lesznie; kosztuje złtp. 4.*

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. Ciechański.*)